

tutaj o to, im dłużej idziemy... Marzy mi się dom rodziców i lasy, gdzie bywał chłopcem...

Schodzili w wielką dolinę, której nie widzieli, będąc w gęstwie młodego lasu. Ale im niżej, tem się głębiej zanurzali w stojące tu nieruchomo cienie powietrza, jak odrętwiałe lodowate jezioro, zakryte pagórkami, jak tamą, od jasnego słońca.

Z tamtej strony, z której przyszli, tańczyły iskry tęcze, lśnił się jak śmietanka puch śniegu, szczebiotały żywe ptaszki w lekkiej, słonecznej kąpieli żywego powietrza.

Tu milczał osędziały w śniegu nocnym las, w niebieskich cieniach, w szarzyźnie mroźnej. Żał mroz z obu stron, ale tu było nieruchome, lodowate technie nie ciszy i śmierci zimowej.

Bromirski jednak, jakby mu zelżały członki, jakby rozluźniła swoje szpony dławiąca ich obu męczarnia, mówił dalej z cicha i pewnie, jakby przeniesiony w daleką odległość:

— Tylko, że tam była wiosna, a tu zima. Ziemia była wygrzana i pełna ciepłej, młodej trawy. Słońce zachodziło i ptaki szczebiotały na sen, ale, choć szła noc, wszystko, co żyło, nie ustawało w rośnięciu i pączki otwierały się w ciepłym zmierzchu.

Osiekli mnie bywało, a ojciec, sługa pański, bał się panu bronić. Nienawidziłem ojca, bo mnie hańbiła jego pokora. A nauczyłem się kochać matkę ziemi.

Pamiętasz, jakieś mi mówił, jak to z chłopami-żołnierzami żyjesz w swojej kompanii, w artylerii, za pan brat? Jam żałował, że sam nie był chłopem. Chciałem mieć najgorszą pogardę najgorszych na sobie i gardzić nią i iść, o nic nie dbając. Zdawało mi się, że góry rozniosę. Taką niezawodną wydawała mi się moja własna siła i szczęście. Kiedy przychodziły hańby publiczne, rozdarcie ojczyzny, zdraycy, przedawczyki, kiedy zdało się, jeden cmentarz u nas, na którym hańba śmieje się i kracze, mówiłem sobie z towarzyszami: to nic! Z popiołów odrodzony Feniks, złoty ptak wolności, odradza się i wyleci! Taką niezawodną naukę widziałem w wiosnie tej, co co roku zimę zwycięża i świat odradza. Jednakże inne jest jakieś tego, co się dzieje, prawidło i nie rodzi się z hańby chwała. Wydawało mi się, że nasza droga jest jasna i to, cośmy zrobili, idąc za Napoleonem. Teraz nie wiem, co z tego wyniknie. Zostanie ojczyzna wyluskana z najlepszej siły, i nadzieje strute. Ku czemu to wszystko idzie?

Będą krakać kruki, zaleją kraj. Duch, który powinien być, wiem, że zostanie, będzie się kołatał: ale na czym się oni oprą, ci prawi, na czym teraz się osadzą, by się nie dać? Na czym, o Boże?

Ustawał i znów podnosił głos i mówił. Ignacy słuchał ze zgnębieniem, i obrazy sunęły przed nim za zasłoną wpół przejrzystą, która zmieniała je na majaki, jak w gorączce. Zdawało mu się, że gdzieś zostawił konia i chwycił go strach, że mu przepadnie. To znów zdawało mu się, że słyszy rozmowę gromką, ale obojętną, prowadzoną przez znane głosy. Postanowił usiąść i wypocząć. Po chwili rzeczywiście ocknął się, siedząc; ale Bromirski szarpał go i potrzasał, mówiąc, że czuć dym i że trzeba iść.

Poszli dalej wśród białego od śniegu i siwego od gąszczu gałęzi lasu. Aż weszli na jakiś dziedziniec, gdzie były po bokach budynki i kupy mierzwy, a wprost ganek mały, na dwu słupach, z dwoma ławkami po bokach. Weszli na ten ganek i siedli na ławkach. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły i ktoś wziął ich do wnętrza, gdzie było bardzo ciepło i ciemno.

XII.

Był sen, sen i sen, nieprzespany.

W tym śnie schylały się nad nimi, przesuwając się koło nich maski obce, straszne, niezrozumiałe, zmory sennie, widziadła okropne.

Jedna maska miała twarz strasznej matki: siwe włosy, oczy wytrzeszczone, groźne, zmarszczki, ryjące zaciętość i zastygłe przerażenie.

Tak się widuje w koszmarach przemienioną drogą

i znaną twarz dobrej matki, na jawie jasną i uśmiechniętą pobjaźliwie.

Druga była twarz kudłata, wypatrująca, chytra, czemś okropnem grożąca, coś obmyślająca wrogo.

Trzecia była maska miażdżąca pogardą, depcząca spojrzeniem, niedosięga, nieziszczalna. Miała straszne, wspaniałe oczy zielono-szare, jak krynice ze światłem na dnie niezgłębionem, usta zaciśnięte surowo, jak krew. Włosy z czoła odwiane, pewnie w burzy. Szyję długą, giętą, gładką jak wąż, brwi jak wężyki czarne, i węże czarnych włosów, które gdzieś na szyi wiły się, jak zmię. Twarz gładką, zimną, białą.

Wśród tego spali, gnienieni przerażeniem, walczący ze zmorą, chcący uciekać i nie mający siły ruszyć nogą ni ręką, jak paralizem związani.

Ignacy ocknął się słaby i nieświadomy siebie, jak dziecko. Przed oczyma miał ciemność, w której nic nie rozpoznawał.

Z chwilą, gdy drżący i spocony z przerażenia obudził się i wyszedł ze snu, uczył, że ciemność, otaczająca go, nie ma nic wrogiego. Owszem, jest

połączyć się znów na mroz, głód i niespanie z temi kupami nędzarzy-żołnierzy, gdzie wiedział, że jest u siebie, ma miejsce własne.

Porwał się, i obróciwszy się na krzyżach, spuścił nogi na ziemię. Zabolął go, jak żywym ogniem przypalone, jak przekłute żelaznymi ostrzami. Syknął, wstał, i idąc niezgrabnie, jak małpa, zrobił kilka kroków aż do Bromirskiego. Namacał ramię, jął go szeptem budzić:

— Wstawaj, wstawaj, kolego! Musimy iść zaraz! Nie możemy zostawać w tyle!

Ale Bromirski spał. Ciało chodziło w rękach Ignacowych, głowa tacała się po pościeli, a oddech szedł i szedł, jednostajnym, nieprzytomnym rytmem.

— Co! — rzekł Ignacy nawpół głośno — czyż go zostawię?

Wybornie poczuł, że gra komedję, i że ma dwie wole w sobie: Jedną, która chce iść precz, wracać do służby. Po jej stronie jest sumienie, rzetelność. Druga pod nią kopie: chce zostać, chce odpocząć. Ta sobie układa, jak tu będzie dobrze: dadzą jeść, dadzą bielizny, dadzą buty, dadzą się wymyć, wrócić do bycia człowiekiem, jak dawniej, sytym, wymytym, odzianym, spokojnym. Chciał tu przywrzeć, nabrać w siebie tego pożywienia, odpoczynku, dobra wszelkiego.

I znów zaczął budzić Bromirskiego gorliwie i uparcie.

Tymczasem drzwi otworzyły się nagle, tuż u głów drewnianego tapczana, gdzie leżał Bromirski. Otworzyły się na izbę i ukazały za sobą sieni, skąd ciągnęło zimno, oświetlona jakimś ledwie tlejącym kagankiem.

Wszedł wysoki a przygarbiony człowiek, który nie widział w ciemności i wysuwając głowę, wypatrywał pilnie na dwie strony, ku tapczanom po kolei. Poszedł do okna ciężkimi, ale stłumionymi krokami i zasunął nagle z hałasem okiennice. Stało się czarno, jak w sadzy. Tylko światło kaganka wpadało z sieni niewyraźną smugą.

Chłop wyszedł do sieni, wrócił z kagankiem i przywarł drzwi za sobą. Teraz ujrzał, że jeden z przybyszów wstał. Chrzął i zatrzymał się przy stole, na którym się wsparł obu rękami.

Ignacy zobaczył, że jest to człowiek niemłody, o głowie kudłatej i brodzie rosnącej krawędzią szczęk i na podgarlu, tak, że wraz z kudłami czupryny szaropłowej tworzyła dla twarzy tło i ramę. Twarz była długa, blada, podługne bruzdy na policzkach, oczy pod niskimi wałami brwi, wypatrujące i bystre. Kaganek palił się przed nim na stole i gdy nierówne światło wskakiwało mu na twarz, wówczas błyskały zęby i oczy zamyśnione i świdrujące. Widać było, że jest niepewny, że ma się na baczności.

Ignacego to bawiło, czuł pocziwą niespodziankę, jakaby zrobił temu oto człowiekowi, gdyby dał mu poznać, z jakimi bezpiecznymi ludźmi ma do czynienia. Wtem spostrzegł swą nawpół nagość, swoje okropne nogi,

krwawe plamy na bieliźnie, niegodnej tej nazwy i zmieszał się.

— Wy jaką drogą tu do nas dobrali się? — spytał chłop po pewnym czasie, ciągnąc z litewską.

— Musi to być szlachcic, — wniosował Ignacy, któremu to pasowało do rekonstrukcji jego przypuszczeń i mająceń we śnie.

— Obdarł nas maroderzy, — odrzekł, — i szliśmy, ledwie żywi. Sam nie wiem, jakieś tu trafili. Nic się nas waćpan nie bój, porządni jesteśmy ludzie, choć tak wyglądamy.

— Wy z wojska?

— Tak.

Drzwi chrupnęły, jakby je kto ruszył. Ignacy ledwie stał na rozbolanych nogach, przysiadł na tapczanie obok Bromirskiego.

— Daruj waćpan, — rzekł, — ale stać mi trudno.

— Dak siadaj, — odrzekł Litwin, który spojrział niespokojnie na drzwi. — A drugie tu za wami nie szły?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dźwignął się zamaszty chłop, odziany w wielkie futro.

pełna ciepła, zakryta przed światem, dobra, jak matka dla dziecka. Obróciwszy się gdzieś indziej, wyraźniej dostrzegł okno, przepuszczające szaro-niebieską ciemność zimową. Rozpoznał też miejsce komina: framugę bieloną, którą z ciemności izby wylaniał blask nieuchwytny, szaro-czerwony, idący ze spopielałych w głąbi komina węgli.

Leżał na tapczanie, na zgrzebnym płótnie, czuł to ręką. Było mu niestychanie wygodnie, choć bał się ruszyć, czując ból wszędzie w sobie, jak po zbijciu.

Na drugim tapczanie słyszał mocny i szybki oddech Bromirskiego. Wsłuchiwał się weń, i przypominał sobie, jak się tu dostali. Przyglądał się z podziwem kolejnym fazom ich losu, jak obrazom całkiem obcym.

Wtem uczył nieznośne gryzienie, świerzbienie ciała. To go błyskawicznie docuciło: z przerażeniem pomyślał o gospodarzach, którym zapługawił pościel. Właściwie miał pewność, że jest tu jakaś kobieta, dama czy panna, której się wstydził. Zaśmiał się głośno i szyderczo sam z siebie:

— A właśnie! Może jej się mam w wielkim mundurze prezentować!

Wściekała go ich krwawa nędza. Chciał się spieszyć, biedz, wrócić do armii, odszukać kompanię,